

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE.

Nr. 51.

Rok 1922, Warszawa, 23 grudnia

Rok LV.

Ślemy wszystkim czytelnikom naszym i przyjaciółom naszego pisma z głębi serca płynące ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE!

REDAKCJA „BLUSZCZU“.

KOLEDA.

Ze zbioru ks. F. Bornika str. 56, słowa ludowe.

Muz. W. Rzepko.

Allegretto. (M. M. $\text{♩} = 60$.)

Mo - że te - raz być we - so - łym czo - wiek zwał - pio - ny,
Mo - że we - sól być zwał - pio - ny,

Al - bo - wiem już od nie - wo - li Wy - swo - bo - dzo - ny.
Al - bo - - wiem wy - swo - bo - - dzo - ny.

ossia.

1. Któ - re - go tra - pi - ła, Pod swą moc pod - bi - ła,
2. Te - raz po - cie - szo - ny, Więc i wy - dźwi - gnio - ny,
Pod swą moc pod - bi - ła,
Więc i wy - ba - wio - ny,

1. grze - - szne - go!
2. Pa - - na - swe - go!

Ja - kò grze - - szne - go!
Od Pa - - na - swe - go!

Opowieść o Biednym Bogaczu i Świętym Żniwiarzu.

(do obrazu J. H. Rosena jun.)

V.

Odtąd—słychane to dziwy!—
 Łukasz, człowiek bogaty, dostojny, szczęśliwy
 zamyślać się zaczął,
 aż mu zmarszczka na czole wyrosła poprzeczna,
 aż córeczka, biegając za nim pytała:
 „Czy byłam niegrzeczna?“,
 aż sąsiedzi, przyjaciele godni,
 zaczęli podejrzewać, czy za młodu, kiedyś,
 nie popełnił zbrodni.
 Od tego zamyślenia
 począwszy, jał ten bogacz naksztalt jakby cienia
 zdaleka śledzić kroki świętego robotnika:
 jak gmera w rowach, jak się po sadzie przemyka
 jak tłucze kamień, wozi żwir, jak drobny i chudy
 pomiędzy spastę konie mknie z widłami,
 niby dziecko między wielkoludy;
 jak o głodzie, chłodzie
 pługiem tłustą ziemię bodzie.
 I zobaczył, że — lebiodą, jagodami,
 korą orzewną i grzybem żywiony —
 Święty Żniwiarz w oczach malał, cieniał,
 a coraz się rozpromieniał
 błogosławiący i błogosławiony,
 bez gniewu, żalu, bez zółci i jadu,
 jako przeczysta jabłoń rajska, kwitnąca wśród sadu.
 A słowa jego pogodne dzień cały
 jak rajskie ptaki kolorowe po świecie latały.
 I skradał się bogacz bezsenny nocą po folwarku,
 biegły za nim psy stróżowe pospuszczane w parku,
 stróż zdaleka stał z latarnią,
 w którą były ćmy białe,
 stękały przeciągle konie
 na pastwisku ospale.
 Pod skapem — garstką chrustu,
 garstka strużyn i słomy;
 na posłaniu cień ludzki,
 zbiedzony, znikomy;
 wkoło cienia świetlna słodycz,
 znacząca kształt wiotki
 i poważne łby wielbłądzie
 patrzące w opłotki.
 Stawał Łukasz z wielbłądami
 i głową trząsał i mówił: „Boże zmiłuj się nad nami„!

VI.

ŚPIEW DZIEWEK.

Prior pustelnik, gdy krowy doił,
 podwoił udój pierwszego dnia, drugiego potroił.
 Krowy się dziwowały,
 ludzkim głosem przemawiały:

„O Priorze, święty Priorze,
 zostań z nami, dziecię Boże“!

Nie dali mu masła,
 sera, ni chleba,
 gołąb mu nosił wino,
 kruk mannę z nieba.

Pan, że mu zasług nie płacił,
 postokroć się z bogacił,
 Chodzi w czerwonym ubraniu,
 w djabelskim upodobaniu,

o Jezu!

Prior śpi, gdzie upada, głowę na kamień składa,
 bogacz zasnął w miękkiej pierzynie;

Choć piekło go nie minie,
 niech spoczywa spokojnie każdy,
 jakiegokolwiek ma łożo...

O pozostań z nami, pozostań, Święty Priorze!

VII.

ŚPIEW ŻNIWIARZY.

Pszenica pozłocista i owies i proso,
 dzisiaj je zżęto, jutro do gumien poniosą.

Kto żął najwięcej?
 snopów dziesiątki tysięcy?

Święty żniwiarz żął,
 zapłaty nie wziął.

Padł cierpki korzeń,
 jadł agrest dziki,

darł nogi do kolan,
 nie miał na trzewiki.

Dzień rozrachunków świta,
 Pan o niego nie pyta.

Łukasz,
 w zielonej szacie jedwabnej hulasz po kiermaszu,
 a krzywda śpi pod progiem do ziemi twarzą
 pod świetną anielską strażą.

VIII.

Bogaty Łukasz w kosztownej, sztywnej złotem
 [odzieży chodził,

nie spał po nocach, nie pił wina,
 truł się i głodził;

przykazał upiec jagnię, jak się należy,
 posyłał prosić Świętego, by z nim siadł do wieczerzy.

Posłał mu szatę błękitną
 bardzo zaszczytą,

sandały z przedniej skóry,
 wachlarz złocistopióry.

Dziwowali się domownicy.
 Płonie świeca przy świecy.

Ze Świętym trudna sprawa:
 chociaż cudna zastawa,

On pozostał na dworze,
tam ma stół, tam i łóżko.

„Niech Łukaszowi błogosławią nieba“,
odrzekł, „jam syty i nic mi nie trzeba“.
Posyłał mu Łukasz ryby i raki,
on je rozdał między biedny lud różnoraki;
posyłał mu bażanty, kolibry, pawie,
aż tu za godzinę wszystkie igrają w trawie;
ofiarował mu konia z rzędem, obdarzyć chciał

[krową,
ale Święty tylko modląc się trząsał cicho głową.

IX.

Bogaty Łukasz ukląkł na rżysku, krzyżem pierś
jął błagać Świętego, by mu przebaczył:
[naznaczył,

„O Święty Priorze,
dobre dziecię Boże,
przed ludem wszystko wyznaję,
złoto Ci oddaję;

Pracowałeś za darmo lat cały dziesiątek,
a jam podwoił dobytek, potroił majątek.

Koni mam poddostatek,
trzydzieści źrebców, sto matek,
źrebiąt i cieląt jak maku,
drobiu i świń bogactwo. Tysiąc wędlin zawisło na
[haku.

Ziarna pełen śpichrz; sad się ugiął pod owocem
[plonem...

...A tyś nagi i bosy!... Życie stało się gorzkim
[i plonem!...

I na resorach kareta,
napój i jadło, owoc i kobieta
nie bawią
tylko mię dławią...

„Gdy śpisz pod anielską strażą,
mnie złe duchy oblażą
z małpią i smoczą twarzą;
tarmoszą mię, za włos targają,
spokoju mi nie dają!
O Święty pustelniku, coś mi pomódz obiecał!...
Dziś mi nie pomagasz,
tylko mię smagasz!
Tylko mię biednego ugniatasz,
jak ścierwem mną pomiatasz!...
Zszedłeś z gór ku kłopotów trosk mych ukojeniu,
a teraz mi rośniesz na sercu
jak Chrystus u Krzysztofa na ramieniu.
Weź wszystko co chcesz,
żonę, dzieci i mnie w niewolę zaprzędasz,
ale mi bez pomocy Twojej
w pohańbieniu zginąć nie daj!“

X.

PIOSENKA DZIECI.

Święty Prior zostawił kępę zboża dla przepiórki,
przybiegła doń sama, z nią cztery córki,
nie boją się!

Święty Prior pomógł wić skowronkowi gniazdko,
Święty Prior szarej klaczy łeb naznaczył gwiazdką
ku radości!

Święty Prior obronił pijanego stangreta,
Święty Prior przed kotem uratował kreta
ślepcę biednego!

A nasza mała siostrzyczka kapryśna i chora
najlepiej śpi na ręku u Świętego Priora
nie boi się!

Nad trumną

Gdy przez ulice Warszawy, ciągnął Kondukt żałobny
pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej—zaległo niezliczone
tłumy głuche milczenie. Przywarły do ogromnej trumny
tysiące oczy w niemem zapatrzeniu. Amarant sztandaru
przykrywał przeszyte kulami zwłoki najwyższego Dostojnika
i pierwszą w dziejach Narodu, zbrodnię skrytobójstwa.

Wstrząsnął sumieniem polskiem dreszcz, od krańca do
krańca Rzeczypospolitej przebiegło pytanie „Kto zabił“.

Nazwisko zbrodniarza nie jest odpowiedzią. Nie wys-
tarcza.

Pytanie sięga głębiej. Kto jest istotnym sprawcą zbrodni?

Na zamku Królewskim ustawiono wysoki Katafalk—
złożono tam zwłoki prezydenta, aby zastygłymi, martwymi
oczami mógł spojrzeć w przeszłość Polski. Tak! Twarzą
w twarz! Aby tem groźniej, przemówił do nas głos prze-
szłości, która przez osiem wieków bytu państwowego nie
znała takiej trumny i takiej zbrodni. Aby tem silniej szarp-
nęła sercami naszymi lęk przed odpowiedzialnością wobec
pokoleń przeszłych i [pokoleń przyszłych, groźniejsza niż
przed współczesnymi.

Przed tym sądem umilknie rozgwar wzajemnych insy-
nuacji i oskarżeń, hałas głośnych słów i tanich frazesów.

Wina spadnie twardym brzmieniem na pokolenia całe.

— Sięgnijmy myślą wstecz obejmijmy pamięcią krótki
okres bytu państwowego, przejdźmy dzień po dniu, miesiąc
po miesiącu, przypomnijmy jak brnęliśmy w bagnie kłamstw,
oszczerstw, nienawiści.

Staczaliśmy się z wolna po pochylni. Zbrodnia doko-
nana na pierwszym Prezydencie była już tylko ostatnim
krokiem, już tylko potworną konsekwencją.

Zamknęła się karta dziejów pierwszego czterolecia,—
Niechże majestat śmierci najwyższego dostojnika Polski
będzie na niej ostatnią krwawą pieczęcią.

Niech się dokona w dniach żałoby w ciszy i skupieniu,
obrachunek sumienia narodowego, nie wracajmy do dawnych
grzechów, do dawnych metod walki, do zbrodniczej atmo-
sfery, która zatruwała życie Polski—nie wracajmy.

„Abyśmy.., nie byli z ksiąg żywota wyjęci, dla ran na-
szych i zmayı“.

BIAŁE LIŚCIE

3

W góry!
 Pasterzel!
 Czarna limousina już ich nosić nie będzie.

W kraju panowała żaloba. Życie toczyło się swoim zwykłym trybem, ale przynębianie znać było na wszystkich twarzach.

Wisiały czarne chorągwie.
 Smutne oddziały milicji przeciągały ulicami, niosąc tablice z napisami, nawołującym obywateli do ratunku.

Przegrana!
 Konwencja podpisana!
 Za rok zaleją kraj tamte hordy.

Senat pracował zawzięcie. Mężowie stanu całymi nocami nie opuszczali sali obrad. Podawano rozmaite projekty. Wszystko na nic. Termin przyszłego lata zdawał się ponurem wiekiem trumny.

W tumach i katedrach odprawiano solenne nabożeństwa.

Oplakiwano koniec swobody.
 I zarazem grano dalej i zakładano się namiętnie.
 B. B. W. święciły istne żniwo.
 A czas biegł.

III.

Poszli w góry. Żyli niby jaskiniowcy Chodzili prawie nago.

Kend obrósł, jak niedźwiedź skalny z którym często potykać się musiał na kamiennych zawrotach.

Mieszkali w chacie skleconej z chrustu i odpadków skał.

Przeżywali niesłychane sensacje spowinienici doszczętnie subtelną drgającą, żywą siecią uczucia. Osiągnęli szczyt rozkoszy, te stany duszy, w których mdleje ona z nadmiaru palących wichrów, co kłatkę piersiową rozsadzają poczuciem bezmiernej błogości, szczęścia i mocy huraganowej...

Chwilami, gdy w cudne zachody siadywali wpatrzeni w siebie — bez słowa, nagle, jakby jedną myślą tknięci zrywali się, obejmowali mocno, podejrzliwymi oczyma tocząc dokoła w obawie, że lada moment zjawi się ktoś, czy coś, co ich szcześnie byt zniweczy, co rozerwać zechce ich dwoje — zapamiętałych, zaślepionych, rozkochanych.

Więc brali się w objęcia broniąc jedno drugie przed złemi, niewidzialnymi mocami.

Toczyły się nocami nad ich szalasem księżycy i gwiazdy, paliło we dnie słońce,

wieczorem siwe mrozy w lodowaty uścisk brały skały, wichry setkami pazurów rwały dach chaty i spalały ich ciała na bronz, na ciemny kolor sepijowy.

Żyli tylko sobą.
 Godzinami wpatrywać się byli zdolni, jak leniwa jaszczurka ciemno-zielony grzbiet podstawiła, cieplej pieszczocie słonecznej, lub jak igrały kozłeta z matkami na wązkich ospiskach.

Noli podobało się nowe życie.
 Prawem kontrastu.
 Niezwyczajne.
 Sielskie.

Różne zupełnie od tego zalewu światowych błysków, które miała tam — w nizinach. Podobało się — że ona, królowa mody — teraz w poszarpanej od ciągłego wspinania się po żłebach spódnicy, bosy, z roztarganemi przez wiatr włosami — prała w strumieniu koszule swoje i Kenta — z których też stopniowo robiły się strzępy.

Nizały się dni — cudowne, pogodne, jasne.

Wysokie jodły szumiały wkoło.
 Piętrzyły się kamienne płyty w chram czarodziejski, — chram ręką Przyrody zbudowany, by ich przyjąć, otulić, upieścić wszystkimi czarami Natury w nagrodę za te dwa sztandary, które się chwiała nad ich, splecionemi w pocałunkach głowami — Młodości i Miłości.

— Upojenie, ekstazy, słodkie znużenia.
 Lekko zdyszane piersi brały w siebie rzeźkie powietrze i rozchylone, rozedrgane świeżo przeżytem wzruszeniem nozdrza chwytały duszne zapachy kosodrzewin i balsamiczną woń świerków.

Umyślnie wychodzili na najbardziej odkryte miejsca i oddawali się sobie w najwyrafinowańszych pieszczotach, wyzywająco świecąc w blasku dnia swoją piękną nagością, niby dwa żywe posągi — cudne i bezwstydne.

Oto my!
 Oto my!

Patrzcie wy kamienie — i wy drzewa — i wy — krzewy — i wy mchy, trawy — i ty księżycu — i ty — słońce — jacyśmy są. Tak się kochamy — patrzcie na to, bośmy piękni jak wy, a może i piękniejsi.

Kend nierządki w oczach Noli za bary brał się z niedźwiedziem — tak sobie — z ochoty — trochę z chęci popisania się przed swoją najmilszą.

Prężyły się, gięły jego zwinne członki w trudzie walki rysując dokładnie pod delikatną skórą misterny układ harmonijnych mięśni. Wreszcie szybkim, a pewnym mocnym uderzeniem topora kończył bój, ocie-

rając pot z uznojonego czoła i zuchwałym a głodnym uznania wzrokiem szukał oczu Noli.

Ona ze swej strony nie żałowała mu tych oznak, wiedząc, o co chodzi.

Och, podobał się jej! Ten śmiały, ten dziki, wielki silny człowiek, który niedawno jeszcze chodził w lakierkach i we fraku.

Czasem biegli gdzieś — prosto przed siebie — jak dwoje obłąkanych, pokrzykując dziko od czasu do czasu, póki wyczerpani nie padli na ziemię dysząc ciężko ze zmęczenia.

Czasem siedzieli bez ruchu pogrążeni w cichem lenistwie, gdy wtem nagle fala radości i Rozpędu budziła się tak nagle, że tchu brakło — i bledli z wielkiej uciechy i tej masy zapału, co się rodziła w piersiach.

I byli sami z sobą, — ziemię, niebo i las mając za jedynych a wiernych i pełnych przychylności przyjaciół.

Tam, w dole huczały wciąż miasta i potworny krzyk namiętności rósł ciągle. Tam jedna tylko myśl przyświecała i jednemu tylko Bogu się kłaniano.

!B. B. W.! B. B. W.!

Falowały tłumy po betonach ulic.
 Ściany gmachów pękały pod naporem rozwrzeszczanych gromad.

Gra! Gra!
 Stada kawek i wron unosiły się nad miastami, — szeroko rozwartemi dziobami głosząc światu:

gra, gra, gra, gra, gra!


Jęczały dzwonki telefonów.
 Wiły się taśmy telegraficzne.
 Podziemne kable wytrzymać nie mogły ciągłego naporu depesz.
 Gra! Gra!

A im się wydawało, że niema nic potężniejszego nad te noce, co ich raz po raz rzucały sobie w objęcia. Za tytanów się mieli, za Duchów tajemniczych, co siłą cudnego, zamkniętego pierścienia Miłości sprawić mogły wszystko.


Z tem wszystkim Noli zaczęła się nudzić ciągle jej sielanka.

Coraz częściej chmura gniewnego zamyslenia mroczyła jej gładkie czoło.

Kend widział to.
 Nola kaprysiła. (d. c. n.)



KUPUJCIE POŻYCZKĘ ZŁOTĄ



„Bocian nawiedził znany na Helerowie (niech będzie) zacny dom państwa Z., i odlatając, zostawił aż... dwojaczki, Matka i niemowlęta, mają się jaknajlepiej. Jak słycać ucieszony ojciec zamierza urządzać hucznie chrzciny“.

Wogóle, rubryka urodzin jest tak obfita, że płodność polska na emigracji wyglądałaby niemal intrygująco. Przytem, ten zaszczytny, ale raczej przeznaczony do domowych zaciszny akt ginekologiczny odbywa się, dzięki udziałowi pism, tak niezwykle publicznie, że dwojaczki pani Zet lub czworaczki (bo i takie były) pani Iks zdają się być niejako dziełem wspólnem, dokonaniem przy udziale szerokich mas społeczeństwa. W następnych tygodniach się dowiemy, jak się odbyły chrzciny, kogo recenzent pisma na nich dojrzał i w jakiej szacie, jakie były prezenta dla niemowlęcia i wiele ucieszonego ojca kosztowało przyjęcie, ryczałtem podług danych rubryk. W to wszystko wpadnie wiadomość, że pan Grzęda sprzedał swój znany z wyrobów kiełbasy krakowskiej zakład na Kulparkowie (niech mu będzie) panu Gudłajowi, i pismo ma nadzieję, że ogół poprze tak zacnego obywatela. Dalej dowiemy się, że zasłużony i zacny obywatel i majster pan Paweł J. Kurek (to J konieczne; rodzaj szlachectwa amerykańskiego. Jedno imię jest ubliżającym brakiem dystynkcji) — wczoraj zmarł, i że o tem krewnych i życzliwych zawiadamia strapiona żona; tyle tekstu. Potem zaś następuje dopisek liryczny od teźże żony, dosłownie w takim brzmieniu:

— Niezapominajcie teraz o mnie, biednej wdowie. Mój zakład automobilowy istnieje wciąż na tej samej ulicy, gwarantowany jako i za mego nieboszczyka, a po godzinach opisowych można dzwonić na pierwsze piętro, jeśli nagle“.

I tak szpalta, dwie, trzy, strona, dwie strony, jak się złoży. Tylu ludzi umiera i tylu się rodzi! A do tego dochodzą rzeczy zgola sielankowe, jak na przykład, dział poświęcony wymianie korespondencji „kwiatów“. Są to młodociane czytelniczki, które pod wdzięcznymi pseudonimami różyczek, konwalijek i fiołków pisują do siebie o swoich sprawach domowych, sercowych, toaletowych i kosmetycznych. Albo dział poświęcony rozważaniom ewangelicznym, albo zawiadomienia rozmaitych grup różnych zrzeszeń religijnych o zebraniach prywatnych czy ogólnych. I tak, gołąbki świętej Genowefy zawiadamiają lilje z wieńca męczenniczki Apolońji, że zebranie ich będzie w niedzielę o piątej. Ziarnka z różańca Królowej Jadwigi chcą śpiewać chóralnie we wtorek, a rycerze świętego Jerzego mają także coś do powiedzenia. Osobnik przeciętnie grzeszny czuje się, po przeczytaniu takiego pisma — a cóż dopiero paru takich pism! — tak pełnym oliwy i świętości, że mógłby się palić jak lampka przed ołtarzem i tylko patrzy, czy go siła nadprzyrodzona nie uniesie, wzwyż przed czasem. Gdy jednak przemorduje jeszcze odcinek, wskrzeszający jakieś dawno pogrzebane

w Polsce pod pyłem wieku „nowości“ albo też utwory miejscowe, w guście zemsty za krzywdy, gdzie autor spokojnie puszcza Wisłę przez Lwów, znów do Zakopanego pędzi bohaterkę pieszo tam i z powrotem wciągu jednej nocy: wówczas robi mu się bardzo słabo, ogromnie przykro i niezmiernie żalśnie i przysięga sobie, że raczej się wykiuruje na kryminalistę, czytając wyłącznie o zbrodniach, ale reszty czytać nie będzie, gdyż los jego umysłu byłby zagrożony. Cóż dziwnego, że potem emigrant się uczy angielskiego choćby dlatego, aby móżdż przeczytać gazetę [miejscową! Amerykański dziennik ma ten sam typ, ale ma się do polskich tak, jak duże pole do małego podwórka, a nadto mają stokrotnie obfitszą, bardziej rzeczową i urozmaiconą treść, w której do polskich przeszła przeważnie tylko skondensowana podwórkowa plotka.

Oczywiście, ten i ów wśród dziennikarzy polskich odpowiednio zamerykanizowanych, ma wstęp do pism amerykańskich, w celach czysto zarobkowych. O takich jednak, którzyby ważyli na opinii dziennikarskiej lub politycznej, zdaje się nie słycać. Natomiast przeglądającemu amerykańskie czasopisma ilustrowane, zwłaszcza te, gdzie się drukuje milionowy obecnie autor Rupert Hughes, musi wpaść w oko pod ilustracjami dziwnie z polską brzmiące nazwisko malarza: W. T. Benda.

Benda! A więc polak? Z wiadomości zasięgniętych tu i owdzie, pokazuje się, że tak, owszem; jest polakiem, mieszka nawet w okolicy dzielnic polskich, prowadzi polski dom i jest jednym z najbardziej wziętych ilustratorów „po amerykańskich magazynach“. Czy urodził się tutaj? Nie, przyjechał. Ach, więc jednak jestto możliwe, mimo olbrzymią konkurencję amerykańską! Więc jednak i tu talent — to klucz od bramy sezamu. Tylko, że talent, umiejscowiony w New Jorku, to krzew wkopany wśród głazów. A zwłaszcza, jeśli jest przeniesiony z kraju, musi zupuścić korzenie głęboko — tak głęboko, że bodaj aż do Polski — i chyba stamtąd czerpać saki, pulsujące w tem, co tworzy wśród głazów obcyzny.

Między innymi p. Benda mieszka w jednym z najbardziej uroczych zakątków starych dzielnic New-Jorku. Wykwita wśród ciemnych i ciasnych ulic niespodzianie i ślicznie, jak osypane białoróżowym puchem brzoskwini, które się rozkładają przed jego oknami. Czy to — traf, czy też mozolne poszukiwania artysty, które w olbrzymim, kamiennym New-Jorku potrafił wykryć ten zgubiony wśród murów słoneczny i kwietny ogródek, podobny w otoczeniu siwych, poważnych ganków pod filarami do klasztornego wirydarza, gdzie sama cisza czasem składa skrzydła, aby posłuchać, jak cichutko pękają w słońcu kwietne paki nieruchomych, wiosennych drzew?

Idziemy popołudniu wspaniałą perspektywą Tifth avenue. Śpiewają! Co to być

może? Nabożeństwo w jakimś kościele, którego krużganki zbiegają białymi stopniami ku wspaniałym chodnikom. Ale nie wstąpimy: szkoda spacer Tifth avenue jest od spaceru. Tu nie chodzą tramwaje i tu się — rzadko — pomiędzy sznurem automobilów widuje najzbytówniejszy wehikuł amerykańskiego świata — zaprząg. Toteż idąc po Tifth avenue, można naprawdę widzieć, słyszeć i oglądać; notując rozmaite osobliwości, stosownie do przecinających ją przecznice za numerami. Siedemdziesiąta siódma, muzeum przyrodnicze, a dalej etnograficzne muzeum New-Jorskie, gdzie można chodzić dzień po dniu i zawsze mało. Dalej, wzdłuż ulicy ciągnie się olbrzymi czworobok Central-parku, jedynego niemal w mieście, ale zato olbrzymiego parku, gdzie są własne góry, rzeki, stawy, łąki i zagaje, ze wszelkimi atrakcjami aż do menażerji włącznie. Podręcznej menażerji, bo prawdziwa mieści się w Bront-parku, za miastem i jest jednym z dziwów New-Jorku. Pięćdziesiąta siódma; słynny „hotel milionerów“. Czterdziesta druga; dworzec centralny, państwo w państwie i miasto w mieście, nie do ogarnięcia zwykłym okiem, tylko chyba na planie. Niżej nalewo — port, t. j. jeden z portów, wyżej naprawo — biblioteka publiczna, no i jedne z najwspanialszych sklepów miasta. Trzydziesta trzecia: Pensylwanja-Hotel, na przeciwko dworca tegoż imienia, uznany jak dotąd za największy hotel świata — 4.000 pokojów, z których n. b. każdy ma łazienkę i wszelkie wymyślne urządzenia nowoczesnego komfortu. Dalej znowu uniwersytet-plac Waszyngtona i stacja autobusów. A żeby wsiąść w piątkę i pojechać na słynną promenadę nadwodną, Newjorskie Aleje Ujazdowskie w stokrotnem powiększeniu, rozszerzeniu, uświetnieniu i uwodnieniu? Byle dostać miejsce na górze, bo tylko autobus i to górny daje prawdziwy rzut oka na całość Riesside. W zwykłym samochodzie widzi się za nisko!

Miejsce jest. Za znikome dziesięć centów, polkniętych ze szczękiem przez konduktorską automatyczną skarbonkę, będzie się jechało z dołu miasta najpierw przez piątą Avenue, arystokratyczną i spacerową, potem zaś huczającym, tłocznym, rozgwiżdżanym i rozmigotanym od reklam Brodway'em aż do nieskończoności, przez sto kilkadziesiąt przecznice. Autobus, jak potworny żuk, ciężko się kopie wśród mrowia samochodów, cykletek i pieszej ciżby, wśród wykrzykiwaczy dzienników i sodowych kiosków, wśród straganów z owocami i filarów kolei. Krzyk, hałas, światła i tłum. Ale oto nagle na sto siedemdziesiątej którejś, zwrot w bok — mała, ciemna, spokojna uliczka, biegnąca w dół, a u której wylotu połyskuje wodą — i autobus z westchnieniem ulgi wyjeżdża na wspaniały tor New-Jorskiej promenady, ciągnącej się strojuem w parki, gazony, posagi i ławki pbrzeżem rzeki Hudsona — dzielnicy magnatów New-Jorskich i klejnotu miasta — na słynną Riverside drife!

(d. c. n.)

KSIĘGA UMARŁYCH

W tej chwili rozległ się gwizdek i koła wagonów zazgrzytały chrapliwie. Panna Olesia, obróciwszy się znowu w stronę pociągu, przesłała jeszcze kilka całusów rozciekawionym buziakom dziecięcym za szybą.

— To państwa znajomi?— spytałem, aby coś rzec.

— Tak... To jest, nie... Właściwie poznaliśmy się w podróży.

— Od samej Warszawy opowiadała im bajki, dopóki się nie pospały dzieciśka. A jedno z nich trzymała przez całą drogę na kolanach. Chwalić Boga, nasze dzieci katolickie. Uniknęliśmy jakoś tej czarnej zarazy w chałatach. A pan się może z nami teraz zabierze co? Olesi chyba się usta do wieczora nie zamkną, tyle ma do opowiadania!

Podziękowałem ukłonem, mówiąc jednocześnie:

— Pani zapewne zmęczona po podróży. Wybrałem się na kolej, żeby panią jaknajprędzej powitać, ale teraz wrócę prosto do siebie. Pani zmęczona, prawda?

— Tak, trochę. Okropnie odwykłam od hałasu i kurzu, jak tylko pobędę w mieście, wśród ludzi, to mi się aż w głowie kręci!— uśmiechnęła się i zaraz dodała:— Ale pan nas odwiedzi niedługo?

— Kiedy tylko pani rozkaże.

— Dziś... Jutro...—zawahała się.—Nie, już chyba jutro. Muszę troszeczkę wysapac z siebie tę podróż. A jutro przyjdzie pan napewno?

— Przyjdę, pani.

— Rano?

— Raniutko.

— Ale tak naprawdę rano?

— Choćby razem ze świtem. Przyjdę o jedenastej można?

— To wtedy u pana świt?

— Napatrzyłem się nań z okopów. Nic niezwykłego. Rodzony brat zachodu. Podobni jak bliźnięta. Ale postaram się jutro przyjść jaknajwcześniej. Mam już tylko krótkie wakacje?

— Ach, to pan znowu wyjeżdża?

— Tylko z konieczności, panno Olesiu. Wzywają mię.

— Wzywają? Kto?

— Wojsko. Jadę niebawem na front.

— Prawda... Pan przecież teraz w naszym wojsku służy...—szepnęła, jakby do siebie i nagle serdecznie podała mi obie ręce:

— Więc tak naprawdę, bez żartów, proszę koniecznie jutro przyjść wcześniej. Tyle mam panu do powiedzenia o... wujaszku Klemensie. Ja go tak zawsze nazywałam, ostatnimi czasy. A mam także coś do wręczenia. Coś, co pan Klemens kazał oddać tylko do własnych rąk pana...

Górski siedział już na bryce i naglił do pośpiechu. Walek, ten sam, który mię przywiózł, śmignął batem z fantazją i po chwili kurz na drodze przysłonił wszystko. Takie było to moje pierwsze po pięciu latach powitanie z panną Olesią.

Jeżeli zapisałem tę rozmowę, to dlatego, że ja pamiętam do dziś dnia słowo po słowie. Są rzeczy, których nigdy nie podobna zapomnieć. Nie dlatego, aby to były specjalnie złe czy dobre zdarzenia... Nie był to jakiś doniosły moment, jedyny w życiu. Ot, poprostu, w chwili, gdy przeczuliśmy się z panną Olesią słowami banalnych grzeczności, musiała istnieć w mym mózgu jakaś wolna komórka, w którą to wszystko zapadło, wryło się na zawsze. Musiała ta komórka być specjalnie czułą kliszu, skoro odbiło się w niej wrażenie tego spotkania aż do najdrobniejszych, mikroskopijnych szczegółów, jak na znakomitem zdjęciu fotograficznym.

Po dziś dzień pamiętam i widzę to wszystko tak jasno, tak wyraźnie, jakgdyby czas tę właśnie chwilę pominął zupełnie, nie drasnawszy jej nawet swem skrzydłem niszczycielskim, pod krórego dotknięciem blakną najżywsze barwy, płowieją najcudniejsze słowa.

Widywałem pannę Olesię przedtem i potem,—widywałem ją dzieckiem, podlotkiem i zupełnie dorosłą osobą, a przecież, gdy zamknę oczy znieca i o niej pomyślę,—jawi mi się pod powiekami, sylwetka w granatowym kostjumie, w głęboko nasadzonej czapeczce,—stojąca na tle rels kolejowych i znikającego w kłębach pary pociągu. Może dzieje się tak właśnie dlatego, że wtedy widziałem panną Olesię najkrócej w życiu,—po najdłuższem tu, na ziemi, rozstaniu.

XX

Już nieraz uważałem, że ilekroć porobię jakiegokolwiek plany na przyszłość najbliższą, zawsze zająć musi coś takiego, co albo zupełnie te plany unicestwi, albo też je odsunie na dalszą metę. Wracalem do siebie w jasno-różowym humorze, pogwizdując wesoło jakąś żołnierską piosenkę. Było mi lekko na duszy, tak lekko, jak dawno nie pamiętałem. Wokoło uśmiechała się wiosna. Zieleniały pola i małe listeczki na drzewach, niebieszczyło się nad głową niebo bez chmurki, rozświegotwały się zgodnym chórem wszystkie skowronki. Szedłem rażno przed siebie, myśląc z zadowoleniem, że jednak życie jest piękne, zwłaszcza w taki wiosenny dzień i że nawet myśl o pustym, wymarłym domu mniej dolega w słoneczne rano, niż zwykła to czynić o dżdżystym zmierzchu. Pogwizdywałem sobie i mówiłem w takt melodji, że nazajutrz pojedę do Rosianki, zobaczę pannę Olesię, że się z nią nagadamy dowoli o wszystkich rzeczach smutnych i radosnych...

Wyroki Opatrzności zrzędziły jednak raczej. Pojechałem do Rosianki konno o wczesnej, przedpołudniowej godzinie. Nikt nie wyszedł przed ganek na moje spotkanie. Dopiero, kiedy już stałem w przedpokoju nieco bezradny, wypadła z jadalni bosonoga Elżbietka w chustce na głowie i wypaplała [piskliwym głosem, co następuje:

— Panienska przepasza, że nie wyjdzie aż za chwilę. Nasz pan pojechał po doktora, a panienska musi siedzieć przy pani.

Panienska prosi, żeby pan zaczekał w salonie.

— Co się stało?— spytałem.

A to nasza pani w nocy zachorowała. Bardzo zachorowała. Panienska caluską noc siedziała przy pani, aż teraz prawie z nóg leci. Panienska prosi, żeby pan zaczął...

Czekałem bardzo długą chwilę i zbierałem się już właśnie do wyjścia, nie chcąc swoją osobą przysparzyć zamętu, gdy otworzyły się drzwi i stanęła w nich panna Olesia. Wyglądała bardzo mizernie w narzuconej naprędce lepszej sukience, którą widocznie przywdziała pośpiesznie na intencję gościa. W rękę trzymała spore zawiniątko, owiązane sznurkiem.

Zaraz też od progu zwróciła się do mnie zakłopotana,

— Przepraszam, że pan czekał tak długo. Nie mogłam się wcześniej wydościć, bo mama usnęła dopiero teraz. Elżbietka powiedziała panu? Mieliliśmy bardzo ciężką noc... Mama zasłała tak nagle...

Podsunałem jej krzesło, bo szukała ręką jakiegoś oparcia. Najwidoczniej „leciała z nóg“ ze zmęczenia.

— Dziękuję,—szepnęła panna Olesia, kładąc swoje zawiniątko na stole.—Chwała Bogu, teraz jakgdyby trochę lepiej, ale ja się tak boję... Mama miewała już kilka podobnych ataków, ale nigdy nie było tak źle, jak dziś w nocy... Ach, Boże, żeby też ojczuś doktora prędzej przywiózł!

— Jakiego to rodzaju cierpienie— spytałem po krótkiej pauzie, gdyż panna Olesia, przymknawszy powieki, umilkła i siedziała nieruchomo, z wyrazem wielkiego zatroskania na twarzy.

— Właśnie, że niewiadomo. Doktorzy nie mogli powiedzieć nic stanowczego. Jakieś wewnętrzne bóle, bardzo gwałtowne... Tak się boję, tak się strasznie boję, że to bardzo poważna choroba... Może to nawet...

Męła w ustach okrutne słowo, nie śmiejąc go nawet wymówić. Widocznie bała się, że sam dźwięk gotów zabrznieć, jak wyrok śmierci nieodwołalny, bezwzględny. W tej samej chwili zaturkotało na drodze.

— To pewnie doktor!— krzyknęła panna Olesia i zerwała się z miejsca.— Pan pozwoli, ja zaraz zobaczę.

Wybiegła szybko, a po minucie, wsuwając głowę do salonu, oznajmiła półgłosem.

— Tak, to doktor. Przepraszam pana, ja teraz muszę iść do mamy.—Cofnęła się, ale po chwili wróciła znowu i rzekła z pewnym zakłopotaniem:

— Tyle miałam panu do powiedzenia, ale teraz,—widzi pan sam. To już chyba innym razem, prawda? Więc do widzenia. A, byłabym zapomniała; ta paczka, to dla pana. Wujaszek pański zostawił mi dla pana. Proszę to zabrać!... może pan przyjdzie wkrótce. Kiedy pan jedzie.

— Jutro, pojutrze. Gdy tylko otrzymam zawiadomienie,

— Może jutro znajdę trochę czasu... Tak mi przykro!

(d. c. n.)

Stanisław Wojciechowski Prezydent Rzeczypospolitej.

(Obrany 20 grudnia 1922 r. Prezydentem Rzeczypospolitej, Stanisław Wojciechowski, liczy obecnie lat sześćdziesiąt kilka. Gorliwy działacz społeczny — zajmuje wybitne stanowisko na polu prac współdzielczych. Był jednym z twórców Polskiej Partii Socjalistycznej i redaktorem „Robotnika”, wydawanego wówczas tajnie. W czasie wojny i najścia Niemców przebywał w Rosji, gdzie pracował w Centralnym Komitecie Obywatelskim. Na szeroka arenę polityczną wypłynął w r. 1919, jako minister spraw wewnętrznych w gabinecie Paderewskiego. Dziś objął urząd Prezydenta Rzeczypospolitej w warunkach nadwyras ciężkich. W orędziu swem wzywa naród cały by wraz z nim ślubował „dawać w życiu publicznem wyraz utajonej tęsknoty do braterskiego współdziałania dla dobra wszystkich.

Ze świata literackiego

Nowele p. Wandy Miłaszewskiej, której najnowszą powieść drukujemy obecnie w „Bluszczu”, zostały przetłumaczone na język słowacki i wydrukowane w pismach „Słowak” (nowela p. t. „Kwiat latosu”) oraz „Vatra”, „Sanzitta”, wychodzących w Pradze Czeskiej. Obecnie ten sam tłumacz, p. Franciszek Hruszowski zwrócił się do autorki z prośbą o autoryzację całego zbioru nowel p. t. „Veni Creator” (Biblioteka Polska, Warszawa).

Książka na gwiazdkę

Alfons Dautet. Przygody Imci Pana Tartarena z Taraskonu, w opracowaniu dla młodzieży, ilustrował Kamil Mackiewicz. Odbito w zakł. graf. Wierzbickiego. Wydanie wykwiłtne. Układ graficzny nienaganny. Niepotrzebnie w czarnych rysunkach w tekście tu i owdzie użyty czerwony kolor, co przy naszej prymitywnej technice raczej zuboża książkę. Sama treść książki?...

Możemy dyskutować nieskończenie na tematy, czy dawać dzieciom przeróbki. Czy, gdzie i kiedy przeczytają myszką nieco trącającego „Tartarain de Tarascon” p. Dautet Alfonsa „qui est vieux mais pas ancieu” (1872 r.) — niewiadomo. Niechże tymczasem ujrzą w skrócie pełnym ekspresji pocziwego Zagłobę Gaskoni i uśmieją się z jego przygód, jak danem było śmiać się i ojcom i dziadom.

Wł. Umiński. Wędrowiec leśny. Ilustracje B. Wisłockiego. Wyd. M. Ostaszewskiej 334 str.

Władysław Umiński — znane to pióro w literaturze dla młodzieży. Jego przeróbkę z Gabryela Terry czytaliśmy z zapartym oddechem prawdopodobnie wszyscy za lat dziecinnych. Dobrze, że ukazała się w naszym wydaniu.

Wł. Umiński. Flibustjerowie. Powieść na tle dziejów Indji zachodnich. Nakł. M. Ostaszewskiej, str. 325. Żywa zajmująca książka.

Włodzimierz Nałęcz. Od Teyńca do Jastażni. Ilustracje autora str. 56.

Książka wypełnia dotkliwą lukę: braku beletrystyki na tle krajoznawczem. Całe tylko nieszczęście, że nie jest beletrystyką, a pół naukową, acz przystępnie napisaną książkę. Przyznając zasługę autorowi i nakładcy, że podjęli tak pożyteczny temat, nie możemy jednak nie zwrócić uwagi na zaniedbanie książki pod względem graficznym. Wszystko tu szwankuje i papier, farba i klisze.

Tak wydawano groszowe kalendarze ludowe 30 lat temu, ale nie współczesne „wędrowki artystyczne”.

Plutarch-Krasicki. Żywoty mężów znakomych. Nakł. Pols. Składnicy Pom. Szk. Str. 155.

Przystępnie i ciekawie podane życiorysy Likurga, Solona, Temistokleca, Periklesa, Aleksandra. Numy Pompiljusza, Gralleków, Marjusza, Sully, Alfreda — króla ang. i Kazimierza Wielkiego.

Już po daniu do druku powyższych recenzji otrzymaliśmy wydania gwiazdkowe Arcta:

Or-Or. Świątek dziecięcy. Miłe wierszyki. Życie dzieci: pełno w niem ptaszków, kurek, piesków, krowek; jest św. Mikołaj, baloalki i bańki mydlane, pole, łąka, las. Obrazków niema. Jest to mała książeczka, licząca 138 str.

Antoni Gawiński. Bajki Staroświeckie. Wdział i czar starych bajek, zawsze żywy, nigdy nie przytłumiony najpiękniejszymi literackimi nowaljami. Czerwony Kapturek — Kot w Butach — Baba Jaga — Kopciuszek — Śpiąca Królewna — któż z nas ich nie zna? Język prosty i piękny — rytm ludowej piosenki i czar wiejskiego dworku. Obrazki proste nie stylizowane przesadnie a bardzo wykwiłtne.

Gawiński. Dziesięciu rycerzy. Sto rysunków w tekście tej dużej książki wykonał sam autor.

Jest to: Cudowna bajka czarów nocy wigilijnej, Przygody małej dziewczynki w krainie Baśni, gdzie niema wiedzmy Złości, Zawiści i Głupoty, panuje tylko Dobro i Piękno, a do której wprowadzić może tylko serce i dziesięciu rycerzyków — O paluszków pracowitych rąk. Pełno tu barw i cudów i cudne krainy, pokoje pełne lalek, dobre wróżki i duszki powietrzne: mówiące wiewiórki i ptaszki i św. Mikołaj z sankami pełnymi najcudniejszych zabawek. Pięknie napisane z pięknymi rysunkami. A przy tem wszystkim — zadziwiająca przystępnosc i emocjonalność opowiadania.

Ewa Szelburg-Ostrowska. — Przedziwne przygody duszka Drindrimuka. Mała 64 stronicowa książeczka z pełnymi humoru charakte-

rystycznymi ilustracjami A. Gawińskiego napisana z pełną wdzięką fantazją o dobrym duszku wesela co przemieszkiwał w dzwonku szkolnym i wypędzał ze szkoły bąbę Jagę imieniem Nuda — bo — Nuda — Morał się nie narzuca, natomiast z duszkiem.

Dzindzinnikiem panuje wielka radość szklydlata, bująca bujnie pod skrzydłami profesora Kółko — pisaja, Ladomierza, cyfrosieja. Pyszne!

Od Aministracji

Szanowni Czytelnicy! Jesteśmy zmuszeni podnieść od 1 stycznia 1923 r. cenę naszego pisma do 5 tysięcy marek miesięcznie.

Pomimo to pozostajemy jeszcze najtańszym tygodnikiem ilustrowanym, jakkolwiek od Nowego Roku rozszerzamy bardzo dział mód, a zwłaszcza dział robót kobiecych.

Prosimy natomiast bardzo naszych czytelników o nadsyłanie wczesnie opłaty za prenumeratę, w przeciwnym bowiem razie będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłkę pisma.

Zwracamy uwagę, że czytelnicy, którzy opłacają z góry za kilka miesięcy, nie będą dopłacali, o ile w ciągu tego czasu będzie nowa podwyżka prenumeraty.

Treść N-ru 51.

- 1) Kolęda. 2) Opowieść o biednym bogaczu i świętym żniwiarzu — J. K. *Wakowicz*. 3) Nad trumną — *Ad-a*.
- 4) Białe liście. — J. *Sosnkowski*. 5) Gwiazdy i dolary — *M. H. Szpyrkówna*. 6) Księga umarłych — *W. Miłaszewska*. 7) Prezydent Rzeczypospolitej. 8) Ze świata literackiego. 9) Książki na gwiazdkę — *M. Wańkowicz*.

NA GWIAZDKĘ

książki dla dzieci i młodzieży

ZUZANNY RABSKIEJ:

- Tajemnice Łazienek, wyd. 2-gie z ilustracjami B. Bartla, - - - - - cena Mk. 8640
Trzy powiastki o harcerzach, z ilustr. Z. Plewińskiej-Smidowiczowej - - - - - cena Mk. 1740
Młodość w niewoli, z ilustracjami J. Grabowskiego - - - - - cena Mk. 3940

Jeż autorkei przekład powieści L. Delarue-Mardrus. *ień starego dworu* - - - - - cena Mk. 21600
(do nabycia we wszystkich księgarniach)

Żądajcie wszędzie „Bluszczu”

OD WYDAWNICTWA

Prenumerata „Bluszczu”

miesięcznie - - - - - Mk. 3000.—

z odnośnieniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 9000.— Cena numeru pojedynczego Mk. 800.—

Zmiana adresu Mk. 300.—

REDAKCJA: Pałac Staszica (ođ ul. Kopernika) — Telefon 140-61.

ADMINISTRACJA: Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2, Koło Polek tel. 239-40.

CENY OGŁOSZEŃ

Cała strona	90.000
$\frac{3}{4}$ „	65.000
$\frac{1}{2}$ „	45.000
$\frac{1}{3}$ „	30.000
$\frac{1}{4}$ „	25.000
$\frac{1}{8}$ „	15.000
$\frac{1}{16}$ „	10.000
$\frac{1}{32}$ „	6.000
W tekście o 50% drożej	
Art. rek $\frac{1}{2}$	75.000
„ „ 1	150.000

PRZEDZALNICZE małe maszyny do lnu
i małe gremplowe do
wełny wykonywa **FABRYKA MASZYN**

Inżynier W. Żórawski

w Warszawie, ulica Wilcza № 2.

KILIMOWE warsztaty najnowszych
fasonów na składzie

NAUKA KILIMÓW Inż. W. Żórawski

w Warszawie, ul. Wilcza № 2.

Dr. M. TUCHENDLER

b. lekarz polikliniki prof. LESSERA.

Choroby skórne i kosmetyka.

(włosów, brodawek)

Od 11^{1/2}—12^{1/2}.

Królewska 27, m. 1.

Telefon 14-27.

POLSKA CENTRALA HANDLU NIEMI

S. WEGENKO i S-ka Współwłaściciele
chowskiej Fabryki

WARSZAWA, KRUCZA № 24. Telefony: Sklep 137-17, Kantor 26

Poleca wyłącznie hurtowo:

nici, wełnę, bawełnę, jedwabie, kordonki D. M.

PRACOWNIA POŃCZOCH,
ZAKIETÓW DAMSKICH,
UBRANEK
TRYKOTOWYCH i wszelkich
wyrobów sportowych,

Antoni Szalkowski i S-ka

WARSZAWA,
Chmielna № 22, róg Zgoda.



Maszyny do szycia

znanej
dobroci „Kasprzyckiego”

Tanio — Hurtowo — Detalicznie

Założono w 1880 r. — Kredytem — Gotówką

Skład fabryczny

Warszawa, Marszałkowska № 159. Telefon № 104-51.

Oddziały:

Częstochowa, Aleja 43. Lublin, Szpitalna 17. Kielce.

Zamawiać można listownie :: :: :: ::

:: :: Warsztaty reparacyjne — części — igły.

Efektowna konfekcja,

Uprzejmość, perfekcja

Grzeczność dla klienta

Energja niepojęta

Niezrównane fasony

I tkanin cudnych festony

A cennik — nie zwiększony.

„EUGENIA” — ELEKTORALNA

Skład trykotaży, pończoch i bielizny damskiej

R. GINTER i H. RYBARSKA

MARSZAŁKOWSKA Nr. 122. TELEFON 24-91,

Polecamy najtaniej hurtowo i detalicznie:

Roquefort oryginalny Rigala, oraz inne sery,
Prima smalec amerykański marki „Swift”
Marmeladę owocową gwarantowaną,
Konserwy: rybne, owocowe i warzywne,
oraz wszelkie towary kolonialne świąteczne.

Dom Handlowy Kulinarno - Gastronomiczny

„KURYLUK i BOBROWSKI”

Warszawa, 1-sze Hale Mirowskie, telef.: 7-29 i 139-84.

Centralna Komisja Dostaw Harcerskiej

Najtańsze źródło wszelkiego rodzaju płócien, madepolam
i t. p. POLECA NADTO NA GWIAZDKĘ:

Wszelkiego rodzaju przybory sportowe,
książki i części ekwipunku harcerskiego

CENY KONKURENCYJNE! CENY KONKURENCYJNE!

Czyż każda z pań nie przypomina
Jak umie ubrać MICHALINA

Firma to stara kapitalna

Pod siódmym, gdzie Elektoralna.

WYGODNIE! Wszelką garderobę męską, damską, futra, oraz konfekcje. Wykonujemy również obstalunki **NA RATY**
podług ostatnich modeli. Wielki wybór materiałów łokciowych krajowych, zagranicznych i jedwabi.

FIRMA „OSZCZĘDNOŚĆ” NOWOGRODZKA 4,
TEL. 228-42, SKLEP.

UWAGA! Dla urzędników państwowych i robotników miejskich
specjalne ustępstwo.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BI
OGŁOSZEN T. PIETRASZEK — Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BI
DZIENNIKÓW S. UNGRA — Sena 12 „sko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA” Duga 9 i I. Buchweitz — Marszałkowska 107.